Nr 2 (32)/2023

PUK

Pogaduszki u Kościuszki

Czasopismo uczniów IV LO
im. Tadeusza Kościuszki w Krakowie

Pogaduszki u Kościuszki 2(32)/2023

Pismo uczniów IV Liceum Ogólnokształcącego im. Tadeusza Kościuszki w Krakowie

Redakcja:
Kamila Przytuła, 4F
Jakub Kuźmiński, 4F
Jagoda Walczak, 4F
hub, 4F
Bartosz Misiek, 4B
Amelia Niezabitowska, 3C
Greta 3C
Zofia Milc 1D
Natalia Kwiatkowska 1C
Nikola Piela 1E
Zuzanna Hyży 1C

Graficy:
Igor Skawiński 1F
Iza Synowiec 2F
Karolina Żak 3F
Emilia Dymińska 1E
Aniela Paulewicz 3C
Julia Batory 1C
Maria Paraszczak 4F

Projekt okładki:
Jagoda Walczak, 3F
Grafiki „Tadzio Kostek”:
Joanna Hauschild, 3Ag

Natalia Kwiatkowska 1C

Opieka:

Joanna Rzońca

Numer dostępny on-line:

Na stronie internetowej szkoły

Polecamy w numerze!

Strefa recenzji	Kącik czwórkowej poezji	Wschodnie napoje w Polsce
Metalcore, post-hardcore — you name it! Izabela Synowiec 2F **Śmierć jest matką piękna, czyli recenzja książki „Tajemna historia”** **Za co kocham filmy Studia Ghibli** Greta Lesiak 3C	**„Szklany klosz”** **„Tusz na papierze”** Amelia Niezabitowska 3C 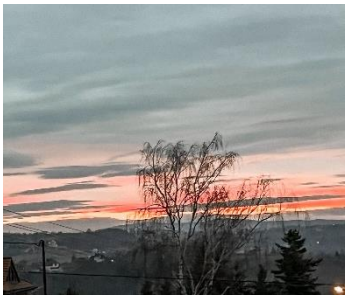	**Bąbelkowa herbata – cała prawda o bubble tea** Natalia Kwiatkowska 1C
Zakątek powieści **„Latający Ekspres, część 2/2”** Zofia Milc 1D 		**Żegnamy czwartoklasistów** **4 lata minęły jak jeden dzień — pożegnanie weteranów gazetkowych** Jagoda Walczak 4F **Rzeczy, które wyrzucam. Opowiadam po raz ostatni w tej szkole o rzeczach moich.** Hub 4F

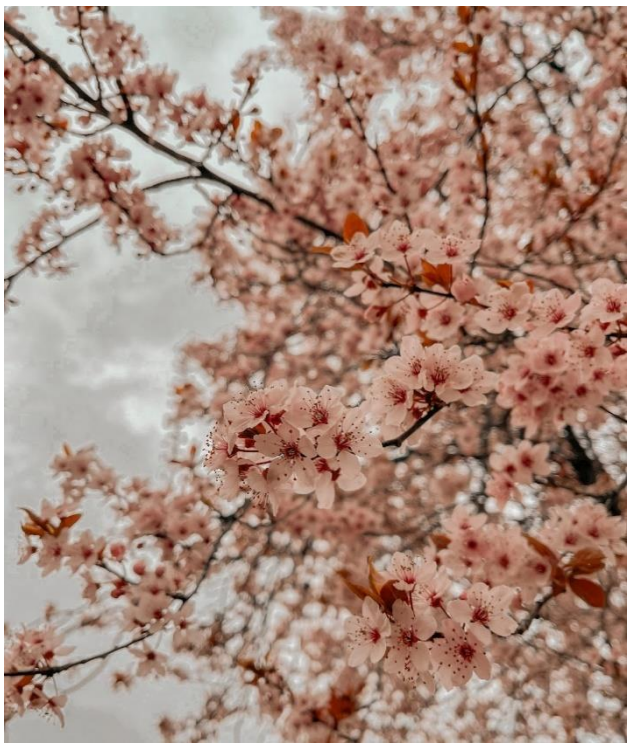

Kochani Czwórkowicze,

witam w kolejnym numerze Pogaduszek u Kościuszki i tym samym ostatnim, do którego napiszę wstęp. Z tej właśnie okazji, że niedługo mnie i moich rówieśników czeka starcie ze smokiem, jakim jest matura, to wydanie obfituje w teksty pożegnalne. Mamy tekst, który podsumowuje działalność gazetkową obecnych czwartoklasistów oraz ogólne kulturalne rozważania na temat tych czterech lat (w których znajduje się specjalne wydanie cokwartalnej listy muzyki). Wiele tu będzie zwierzeń i ważnych dla nas tematów, więc pierwszy raz w mojej karierze proszę o to, żebyście rzeczywiście przeczytali te teksty. Nie pomijajmy naszych młodszych kolegów: w gazetce znajdziecie również wyjątkowo dużo tekstów literackich, w tym kontynuację opowiadania z zeszłego numeru. Klasycznie mamy recenzje książek, filmów i muzyki. Dla zainteresowanych, jedna z naszych redaktorek opowiedziała nam o historii bubble tea.

Nie pozostaje mi nic innego, niż zaprosić Was do tego wyjątkowego numeru.

Miłego czytania!

Redakcja PuK

Izabela Synowiec 2F

Metalcore, post-hardcore — you name it!

Witam wszystkich w moim pierwszym tekście opublikowanym w tejże gazetce! Wiosna nas już przywitała, wciąż jednak co jakiś czas zrzucając śnieg, a razem z wiosną, naturalnie, zbliża się koniec roku — a co za tym idzie… sprawdziany, kartkówki, natłok wszystkiego. Nie ma lepszego sposobu na wyzbywanie się ze swojego ciała stresu i nerwów niż przerzucanie gniewu na głośne oraz pełne energii piosenki metalowe/rockowe. Dlatego właśnie przychodzę do Was z listą moich ulubionych tego typu utworów, które zawsze, o dziwo, przynoszą mi wiele ukojenia.

Zacznę od mojego absolutnego numeru jeden, to jest: „**Staria I: Amadeus Rise!**” od **Set to Stun**. Piosenka ta, a także pozostałe z albumu „**SET TO STUN and The Desperado Undead**”, który serdecznie polecam, jest całkiem długa, gdyż trwa ponad osiem minut, aczkolwiek moim zdaniem im dłuższa, tym lepsza. Już w pierwszych sekundach możemy spodziewać się ciężkich brzmień, a sam tekst, który z początku może się wydawać niezrozumiały ze względu na wiele odniesień do popkultury, przekazuje wiele emocji i opowiada o doświadczeniach jednej z postaci z uniwersum The Desperado Undead. Występuje tam wiele przemocy, jednak wszystko tworzy jedną, poetycką całość. Muszę przyznać, że niektóre fragmenty dość mną wstrząsnęły, takie jak ten o topieniu w wannie ukochanej bohatera piosenki, ale z pewnością nadaje to świetnej atmosfery lęku.

Następną pozycją jest „**ENTER LUST**” od tego samego zespołu. Jest to ich najnowszy singiel — wydany w listopadzie ubiegłego roku, natomiast będzie on częścią albumu, który zapowiadany jest już na kwiecień! Jeżeli ich piosenki przypadną Wam do gustu, naprawdę zachęcam do śledzenia ich socjali. Będzie to zdecydowanie największe wydarzenie roku, biorąc pod uwagę, że ich ostatni album jest z roku 2015.

Tym razem poznajemy opowieść jednego z grzechów głównych, czyli tytułowego pożądania. Tragiczna historia przedstawia postać, która z desperacji oraz frustracji pozbawia przypadkowo poznaną kobietę życia, jako iż sama nie rozumie pojęcia miłości. W trzeciej minucie piosenki, nastrój diametralnie się zmienia z przygniatającej, pełnej grozy na niemal anielską o delikatnych, przyjemnych tonach. Może to symbolizować retrospekcję do czasów, gdy Pożądanie był szczerze zakochany w Delii, której to właśnie imię zostaje wspomniane.

Ogólnie mówiąc, jest to jeden z moich ulubionych utworów. Naprawdę potrafi wywołać u mnie rollercoaster emocji, oczywiście w pozytywnym znaczeniu.

Kolejnymi dziełami, jakimi chciałabym się z wami podzielić, są „**Overdose**” i „**Lovesick**” od zespołu **Aurora View**. Zacznijmy od tej pierwszej.

Tytuł oznacza przedawkowanie, w tym przypadku chodzi najprawdopodobniej o nieszczęśliwą miłość, bez której podmiot nie jest w stanie normalnie funkcjonować. Atmosfera utworu jest niezwykle ponura i depresyjna (zresztą jak każdy podpunkt na tej liście). Moją ulubioną częścią tej piosenki jest zdecydowanie refren, w którym

słyszymy melodyjny śpiew, dość odświeżający, gdy przez większość piosenki wokalista posługuje się głównie mid scream'ami.

„**Lovesick**" ma dość podobną aurę do tej panującej w utworach **Set to Stun**. Motywem przewodnim są przymus, cierpienie. Zazwyczaj nie lubię piosenek o miłości ze względu na ich płytkość czy po prostu fakt, że w wielu tego typu piosenkach powtarzają się te same, nudne schematy. Mimo to moim zdaniem przy słuchaniu „**Lovesick**" czy „**Staria I: Amadeus Rise!**" z początku może się wydawać, że ich celem jest opowiadanie o smutnej i niespełnionej miłości, a tak naprawdę to, o czym mówi owa piosenka, w żaden sposób jej nie przedstawia — a z pewnością nie tej romantycznej. To właśnie sprawia, że wydają mi się niezwykłe i wzbudzają wiele sprzecznych ze sobą uczuć.

Ostatnim przystankiem będą dwa utwory od **Stain the Canvas**. Zespół ten odkryłam stosunkowo niedawno, lecz od razu przypadł mi do gustu i wręcz nie mogę przestać ich słuchać.

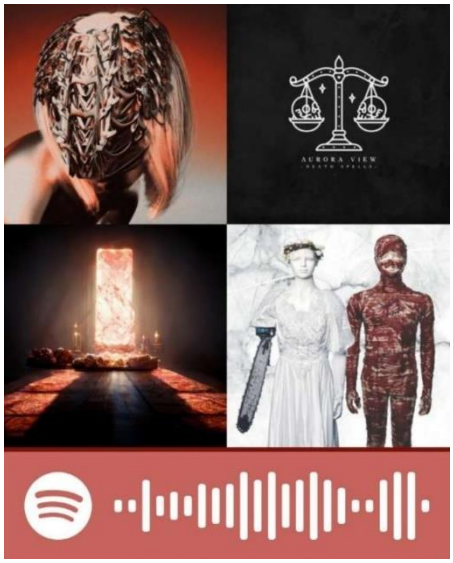

„**Stolen Youth**" featuring **Outline In Color** oraz **Famous Last Words** jest świetnym przykładem, jak słuchaczom przekazać można żal, gniew czy zawiść. Zarówno tekst, jak i same instrumentale, jest pełny wyrzutów i pretensji. Jeżeli ktoś z Was kiedykolwiek doświadczył fałszywej przyjaźni lub ogólnie jakiejkolwiek zdrady, łatwo będzie Wam się wczuć w utwór.

Na koniec, tak jak obiecałam, „**LXVE**", również od **Stain the Canvas**. Bezradność, pogodzenie się z losem. Ciężko określić, czy jest to pozytywne nastawienie, czy też negatywne. Tak czy inaczej, świadomość, że i tak nie ma się nic do stracenia może skłonić do podejmowania mniej lub bardziej radykalnych decyzji. Zdani na ból i pastwę losu… tak właśnie to interpretuję, kiedy tej piosenki. Bez wątpienia piękny utwór pod względem kompozycji i przekazu.

Tak właśnie doszliśmy do końca listy. Mam nadzieję, że znajdą się jacyś inni fani metalcore, którym spodobają się moje rekomendacje. Powyżej zostawiam Wam playlistę do wszystkich utworów, o których wspomniałam, oraz kilka innych. Trzymajcie się w tej czwórce, buziaki!

Natalia Kwiatkowska 1C

Bąbelkowa herbata – cała prawda o bubble tea

Bubble tea podbiła serca smakoszy na całym świecie swoim unikatowym wyglądem i smakiem. Czym jest ten napój? Skąd pochodzi? Czemu jest bąbelkowa? Jak jest robiona i ile kosztuje? Czytajcie dalej, a dostaniecie odpowiedzi na wszystkie te pytania.

Pochodzenie:

Bubble tea czy też Boba, jak to niektórzy ją nazywają, pochodzi z Tajwanu. Nie da się dokładnie ustalić, kto wymyślił ten pyszny napój, lecz głównie chodziło mu o to, aby urozmaicić herbatę poprzez dodanie do niej kulek tapioki, mleka i lodu, co miało przyciągnąć klientów.

Dlaczego jest bąbelkowa?

To proste: ponieważ, jak wcześniej wspomniałam, znajdują się w niej kuleczki tapioki, które mogą przypominać bąbelki. Tapioka to rodzaj skrobi otrzymywanej z manioku. W konsystencji przypomina żelki i ma dość neutralny smak. Lecz nie tylko ona dodawana jest do tej niezwykłej herbaty — wiele firm produkujących bubble tea, takich jak „BubbleJoy” czy „Crazy Bubble”, oferują oprócz tapioki dodatki takie jak „Popping Boba” lub galaretki. „Popping Boba”, nazywany także kawiorem molekularnym, to malutkie, smakowe kuleczki z sokiem w środku, przypominające tapiokę. Osobiście uważam, że są całkiem dobre, lecz dość słodkie. Co do galaretek, niestety nigdy nie jadłam, więc nie mogę Wam na podstawie swoich doświadczeń dokładnie wytłumaczyć, co to jest, ale podobno są to słodkie paski przypominające w smaku owoce.

Jak jest robiona bubble tea?

To z pewnością zależy od firmy lub sklepu ją sprzedającego, lecz najprostsza i chyba najbardziej klasyczna bubble tea to zielona lub czarna herbata z mlekiem, kuleczkami tapioki i słodkim syropem. Do tak zwanych tradycyjnych bubble tea należą jeszcze herbata taro i matcha. Oczywiście rodzajów jej jest bardzo dużo i różnią się od siebie smakami.

W takich sieciach restauracji jak „Crazy Bubble" napój ten jest podawany na wiele sposobów. Może być na zimno lub ciepło, bez mleka lub z mlekiem, z bitą śmietaną i innymi dodatkami lub bez nich, ale, jak wspominałam wcześniej, klasyczna bubble tea to herbata z mlekiem, tapioką i kostkami lodu.

Teraz pozostaje pytanie, jak dosłownie robi się taką bubble tea? W skrócie: zaparzamy herbatę, studzimy (jeśli chcemy), gotujemy tapiokę i mieszamy ją ze słodkim syropem, na przykład klonowym lub miodem. Taką mieszankę wsypujemy na dno szklanki, wlewamy herbatę do kubka, dodajemy mleko (jeśli chcemy), dodajmy kostki lodu (również jeśli chcemy) i gotowe! To jest tylko podstawa — jeśli mamy ochotę, możemy dodać syropy smakowe, aby herbata miała jakiś konkretny, wybrany przez nas smak. Powinniśmy również kupić szeroką słomkę, aby można było przez nią wypić kuleczki, ponieważ bez niej moglibyśmy mieć z tym kłopot. I to tyle — bubble tea jest gotowa!

Ile kosztuje? Gdzie sprzedają najlepszą?

Około 16-21 złotych. Najdroższą bubble tea, jaką piłam, kupiłam w sklepie „Big Boba". Kosztowała 21 złotych, ale jakościowo była bardzo dobra, a kubek był dość duży. Następna w kolejności jest sieć sklepów „Crazy Bubble". Tam w przeciwieństwie do „Big Boba" są dwa rodzaje rozmiaru napoju – mały i duży. Mały kosztuje około 17-19 złotych, a duży 20. Jakościowo uważam, że ta firma nie jest najlepsza. Najtańszą bubble tea wypiłam w tajwańskiej restauracji „KU KU Taiwanese Food & Bubble Tea". Cena zależy od rodzaju napoju, ale są w przedziale od 16 do 18 złotych. Jakość bardzo wysoka i świetnie smakuje. Może porcja nie jest taka duża jak w innych sklepach, ale też nie jest bardzo mała, więc moim zdaniem naprawdę warto tam zajrzeć.

Zofia Milc 1D

Latający Ekspres, część 2/2

— Poczekajcie chwilę, dzieciaki — mruknął Tormey, a ona przez wiatr ledwo to usłyszała. To Hans zatrzymał się i spojrzał na niego wyczekująco, zaczynając się bujać na piętach. — Masz tutaj gwizdek. Użyj go, jak będziesz chciała wracać do domu, a Latający Ekspres się tutaj zjawi. Dokładnie w tym samym miejscu, przynajmniej taką mam nadzieję. W każdym razie gdzieś blisko.

Podał jej srebrny, metalowy gwizdek. Wyglądał zwyczajnie. Schowała go do kieszeni spodni i powiedziała ciche „dziękuję", żeby dawać Hansowi dobry przykład.

Tormey wsiadł do pociągu, który wzbił się w powietrze tak szybko, że kilka sekund później dosłownie rozpłynął się w powietrzu, a chłopiec pobiegł w przeciwną stronę, wciąż starając się zmieścić w kieszeniach miniaturowe dinozaury. Dziewczyna musiała przyznać, że dogonienie go to był spory problem, zwłaszcza że wszelkiego rodzaju sportów unikała jak ognia.

— Czyli… masz na imię Hans, tak? — zapytała wreszcie, kiedy udało jej się złapać oddech. — Jak ten z *Krainy Lodu*?

— Mhm.

— Ja jestem Else Marie. Naprawdę nie wiem, dlaczego rodzice postanowili mi tak uprzykrzyć życie i wybrać dwa imiona.

— Mhm.

Westchnęła, ale na tyle cicho, że miała nadzieję, że tego nie zauważył. Nie chciała iść w krępującej ciszy, więc zaczęła pierwszy temat, jaki przyszedł jej do głowy.

— Lubisz dinozaury?

— No, tak. Dinozaury są super! — Nagle się ożywił.

— A jaki jest twój ulubiony?

— Hmm. — Przystanął, żeby się zastanowić. — Welociraptor, ale nie mam jego figurki. Za to mam pluszaka, który wygląda jak on i nawet ma pióra!

— Naprawdę? To świetnie!

— Noo. A pani ma swojego ulubionego dinozaura? Albo gada?

— Eee, tyranozaur? — zaryzykowała, bo oprócz niego pamiętała jeszcze tylko triceratopsa.

— Typowo.

— Dlaczego? Tyranozaury są fajne.

— A wie pani przynajmniej, jak wyglądały? Cokolwiek? — Uniósł brew i najwyraźniej próbował wyglądać poważnie, ale słabo mu to wychodziło.

— No, był duży, co nie? I miał ostre zęby, oczywiście. — Starała się mówić z sensem, ale wiedziała, że nie przekonałaby w ten sposób nawet przeciętnego człowieka, a tym bardziej miłośnika dinozaurów.

— Akurat dobrze. Dorosły osobnik mógł mieć nawet czternaście metrów długości i pięć i pół metra wysokości. Był taaaki duży! — Rozpostarł ramiona. — Z zębami też nieźle. Miał ostre, bo polował, a osiągały długość osiemnastu centymetrów.

Okej, zdecydowanie nie mogła go przekonać, że wie cokolwiek o dinozaurach.

— Nie wiem, dlaczego dorośli zawsze wybierają tyranozaura na swojego ulubionego. Niech pani na niego popatrzy. — Wręczył Else Marie jedną z figurek. — Wygląda zwyczajnie. Na przykład takie plezjozaury były o wiele ciekawsze: były gadami wodnymi, żyły w wodzie, mogły osiągać długość nawet do dwudziestu metrów, no i miały płetwy i śmiesznie małe w porównaniu z szyjami głowy. Albo gorgozaur. Taka ulepszona wersja tyranozaura, tylko trochę mniejsza, ale za to szybsza, silniejsza i bardziej agresywna… o, już jesteśmy.

Zatrzymali się na środku małego placyku, tuż przed fontanną w kształcie renifera, który latem zapewne wypluwał wodę pyszczkiem. Tandetnie, ale w pewnym sensie uroczo.

Hans wspiął się na murek, a ona tylko modliła się, żeby nie wpadł do fontanny i nie wybił sobie wszystkich zębów. Ten jednak tylko stanął na palcach, żeby dosięgnąć pomalowanego na czerwono nosa renifera. Kiedy go przycisnął, coś zaskrzypiało, a po chwili koło fontanny utworzyło się przejście w ziemi. Chłopiec poprowadził Else Marie w dół schodów. Ona stawiała nogę za nogą, żeby nie spaść, bo nie było tu żadnego oświetlenia, ale słyszała, że on wesoło podskakiwał gdzieś przed nią.

— Właściwie to dlaczego lubisz dinozaury? — zapytała, kiedy schodzenie w ciemnościach zaczęło jej się dłużyć.

— Bo są suuuper! Są takie… zaskakujące. Na początku widzisz tylko takiego tyranozaura, ewentualnie wysilisz się trochę bardziej i pomyślisz o pterozaurze. Twoje wyobrażenie o dinozaurach to nudne, brązowo-zielone stworki, które można podzielić na mięso- i roślinożerne. A potem nagle: bum! — Była pewna, że słyszała, jak podskakuje. Najprawdopodobniej rozłożył też entuzjastycznie ręce, bo coś uderzyło ją w ramię. — Zaczynasz się o nich dowiadywać więcej i nagle się okazuje, że niektóre miały pióra! I że istniały też gady, które żyły w wodzie, więc dla lepszego maskowania nie mogły być takie brzydkie i brunatne. No i większość miała zabawnie nieproporcjonalne niektóre części ciała, na przykład tyranozaur z tymi swoimi malutkimi przednimi łapkami. A potem dochodzisz do tego momentu, kiedy się dowiadujesz, że naukowcy postanowili je klasyfikować nie ze względu na środowisko, w którym żyły, albo sposób, w jaki się odżywiały, tylko na podstawie budowy ich miednicy.

Na szczęście tortura się skończyła. Trochę niżej zaczęło się robić coraz jaśniej, aż wreszcie zeszli do dużego pomieszczenia z wysoko zawieszonym sufitem, które chyba pełniło funkcję szatni.

Hans podszedł do jednej z wnęk w kryształowej ścianie i zdjął z wieszaków dwa fartuchy ochronne. Jeden bez słowa podał Else Marie.

Włożyła go bez zbędnego narzekania, bo wyglądał dosyć normalnie — jak zwykła odzież ochronna w laboratorium chemicznym, tyle że czerwona. Męczyła się przez chwilę z guzikami, a kiedy wreszcie skończyła, Hans wręczył jej gumkę do włosów.

— Ma pani długie włosy, powinna je spiąć.

Kiedy zmienili też buty, poprowadził ich do przeciwległej ściany, również całej z kryształu, może szkła. Hans przysunął sobie małą drabinkę i z jej pomocą wpisał kod na pulpicie, który był zawieszony zbyt wysoko jak na jego dziecięcą posturę.

Ściana dosłownie się otworzyła. Dokładniej mówiąc, dwie jej części rozjechały się na boki i stworzyły przejście o wysokości co najmniej dziesięciu metrów.

Weszli do ogromnej, ale to naprawdę ogromnej hali. Po prawej stronie znajdowały się setki, jeśli nie tysiące tajemniczych stanowisk, po lewej coś w rodzaju gigantycznej skrzynki na listy, ale z bardzo dużą ilością otworów. Cała maszyneria ciągnęła się wysoko w górę, gdzie na kolejnych poziomach również pracowali ludzie, ale jej centrum wydawał się monitor wysoki na jakieś trzy metry pośrodku pomieszczenia.

Hans pobiegł w tamtą stronę, a za nim Else Marie. Wyraźnie kogoś szukał, nerwowo ruszając przy tym rękami, a po chwili podszedł do nich łudząco podobny do niego mężczyzna, tylko starszy. Dziewczyna była prawie pewna, że jest on w podobnym do niej wieku.

— Co tam, Hans? Pan Tormey znowu nam kogoś podrzucił?

— Mhm. To pani Else Marie. Lubi tyranozaury, ale mówiłem jej, że jest też dużo ciekawszych dinozaurów.

— To super! Oprowadzę ją, ty już się pewnie świetnie spisałeś. Prawda? — Spojrzał na Else Marie wyczekująco, więc pokiwała głową.

— Tak, jest genialnym przewodnikiem. — Chciała poklepać dumnego dzieciaka po ramieniu, ale drugi chłopak strącił jej rękę.

— To ja pójdę do taty. Pa! — powiedział cicho i uśmiechnął się, po czym pomachał jej na pożegnanie.

— Czemu mój brat mówi na ciebie „pani”? — zapytał od razu, kiedy chłopiec się oddalił.

— Dobra, słuchaj. Może i mam metr pięćdziesiąt, ale…

— Nie o to chodzi — przerwał jej. — Po prostu on raczej nie używa takich zwrotów grzecznościowych. Przede wszystkim prawie w ogóle się nie odzywa do obcych.

— Zauważyłam. Zainteresował się rozmową, jak zaczęłam temat o dinozaurach. Co prawda nic już nie pamiętam z jego wykładu, ale to brzmiało… ciekawie.

Zaśmiał się.

— Tak, to nasz mały, kochany Hans. Nie przedstawiłem się wcześniej, ale jestem Ivo. Miło poznać. — Poprawił strój ochronny, który spadał mu z ramienia. — To co, chcesz pozwiedzać?

— Jasne. A przy okazji chętnie bym się dowiedziała, gdzie jestem, czemu jesteśmy pod ziemią, dlaczego macie w fontannie przycisk uruchamiający sekretne wejście do jakiejś fabryki i przede wszystkim jak to się w ogóle stało, że przyleciałam tutaj pociągiem.

— Już nie pamiętam pierwszego pytania, ale okej. — Poszedł w kierunku dziwacznych stanowisk, stanęli przy jednym z niewielu pustych. — Wyjaśnienie o pociągu pewnie już słyszałaś od Tormeya, a naprawdę nie wiem, jak inaczej mam ci to wytłumaczyć. Swoją drogą ciekawa nazwa, co?

— Niezwykle kreatywna.

— Tak, i takiej wersji się trzymaj, jakby Hans cię o to pytał. Ta nazwa jest stosunkowo nowa, on ją wymyślił.

— Jasne. Co to?

Wskazała na ekran wbudowany w stolik, na którym wyświetlała się lista imion i nazwisk.

— Zacznijmy od początku, okej? Wiesz już, że jesteśmy w fabryce. Tormey pewnie mówił ci też, że lecicie do wioski świętego Mikołaja. Jakieś konkluzje?

— Czyżby fabryka prezentów?

— Nie do końca, ale blisko. — Zaśmiał się. — Co ci się kojarzy z Mikołajem?

— Renifery?

— Nie.

— Sanie?

— Też nie to. Mówię o świętach, Else Marie. W ogóle mam się tak do ciebie zwracać czy używasz jakiegoś skrótu?

— Wszyscy tak na mnie mówią. — Wzruszyła ramionami. — Nawet rodzice i przyjaciele.

— Trudno, Else Marie jest zdecydowanie za długie. Będę na ciebie mówić Else. Albo lepiej, *Elsa*. Akurat się wpasujesz w klimat.

— Przyznaję, niebanalne poczucie humoru. — Westchnęła.

— Serio?

— Nie. Dzieciaki w szkole wymyśliły to od razu, kiedy wyszła *Kraina Lodu*.

— A już myślałem, że wymyśliłem coś fajnego. Trudno. W każdym razie stanęliśmy na tym, że robimy tu coś związanego z Bożym Narodzeniem. Teraz masz drugą szansę, żeby się wykazać w zgadywaniu: co ci się kojarzy ze świętami?

— Urocze rodzinne kłótnie?

— Wiesz co? Jesteś w tym beznadziejna. Chodziło o tę magiczną atmosferę jedności, miłości i tak dalej. I jeśli kiedykolwiek zastanawiałaś się, skąd ona się bierze, to — voilà! — produkujemy ją tutaj, w postaci takiego kolorowego proszku. Strasznie się to do wszystkiego lepi, prawie tak bardzo jak brokat, więc lepiej uważaj. Jak sobie go kiedyś wysypałem na włosy, to przez dobre cztery mycia nie chciał się ode mnie odczepić. No i w tym momencie dochodzimy do odpowiedzi na twoje pytanie — na ekranie przed nami jest lista ludzi, którym jeszcze nie wysłaliśmy magii świąt, czyli

Pyłku. Wszyscy tutaj tak to nazywają, więc musisz się przyzwyczaić. Jakby Hans pytał, oficjalna nazwa to „Kolorowy Pyłek”, również jego autorstwa.

— Jeśli wymyślał nazwy dla wszystkich tych przyrządów na stoliku, to pewnie łatwo mogę je zgadnąć.

— Pewnie tak, ale to by zepsuło całą zabawę.

Przesunął palcem po ekranie i kliknął pierwsze lepsze imię.

— Cały proces produkowania Pyłku jest dość prosty: losujesz osobę, bierzesz do tego oto cudownego kubeczka trochę pasty z podajnika po lewej, patrzysz na ekran na listę zainteresowań i hobby tej osoby, i mocno się na nich skupiasz. Jak sobie wyobrazisz wyraźny obraz, to koncentrujesz się na nim i tak jakby przekierowujesz go do palców, a potem strzepujesz do kubeczka. Jeśli dobrze ci pójdzie, pasta zamieni się w Pyłek, który możesz wsypać do torebki, zamknąć i wrzucić do jednego z otworów w tej ogromnej skrzynce pocztowej po lewej stronie pomieszczenia. Wszystko jasne, Elsa?

— Nie rozumiem części z wyobrażaniem sobie czegoś, a potem strzepywaniem tego z palców, ale tak poza tym to wszystko.

— Czyli właściwie nie zrozumiałaś najważniejszej części. Ale spokojnie, ona sprawia nowicjuszom najwięcej trudności. — Zamyślił się. — Może po prostu popatrz, jak ja to robię i potem postaraj się powtórzyć.

Brzmiało dość prosto. W zasadzie Else Marie nie zwracała większej uwagi na to, co robił, dopóki nie skończył wyciskać do kubeczka zielonej pasty — dokładnie w odcieniu jej szalika — która pachniała trochę jak choinka, trochę jak pierniczki i trochę jak mandarynki. Spojrzał na wyświetlacz, na którym widniał napis „modern jazz”, a pod nim „wiolonczela”.

Wyjął z kieszeni telefon i wyszukał te dwa hasła, prawdopodobnie po to, żeby mieć pewność, że odpowiednio je sobie wyobrazi. Zamknął oczy i zmarszczył czoło, a kiedy zbliżył dłoń do małego pojemniczka, z jego palców spłynęło światło. Kiedy tylko dotknęło pasty, ta błysnęła, a po chwili rozpadła się w pachnący, fioletowy Pyłek.

— Mogą mieć różne kolory? — zapytała, a kiedy Ivo nie zrozumiał, o co chodzi, wskazała na jakąś kobietę przy najbliższym stoliku. — Jej Pyłek przed chwilą był biały.

— Tak, są w ulubionym kolorze osoby, dla której go przygotowujesz. Ach, no i jeszcze jedno. — Podstawił kubeczek pod kran i wypłukał go płynem, który pachniał chemikaliami. — Musisz po każdym rodzaju Pyłku porządnie umyć ten kubeczek, inaczej je ze sobą pomieszasz i żaden nie zadziała. To chyba tyle, ale jak coś, to pytaj. Chcesz teraz sama spróbować?

— Czy jeśli nie wyjdzie, to zniszczę całą magię świąt, szczęście wszystkich dzieciaków na ziemi albo sprowadzę na nas zagładę? — dopytała dla pewności.

— No raczej, że nie! Skąd w ogóle takie pytania?

— Niedługo wyjeżdżam na studia, pewnie będę sobie kupować mieszkanie. Przygotowuję się do wzięcia kredytu hipotecznego.

— Przed wzięciem kredytu trzeba się upewnić, czy to nikogo nie zabije?

— Cóż, w umowach bywają różne kruczki. Czyli na sto procent nic się nie stanie, a jak mi nie wyjdzie, to mogę spróbować jeszcze raz i nie zepsuję tej osobie świąt?

— Dokładnie.

— Dobra, no to do roboty.

Tak, jak się spodziewała — z wybraniem nazwiska z listy i wyciśnięciem zielonej pasty nie miała problemu. Kiedy jednak na ekranie wyświetlił się napis „zaplatanie warkoczyków" i „wrotki", zaczęła naprawdę poważnie rozważać opcję ucieknięcia stamtąd najdalej, jak tylko się da. Tyle tylko, że Ivo już wyszukiwał odpowiednie pojęcia, więc głupio by było sobie pójść.

— Moim zdaniem opcja wyszukiwania zdjęć powinna być wbudowana w stolik. Byłoby szybciej, jakby od razu wyświetlało się kilka zdjęć poglądowych.

Nie skomentowała tego, tylko skupiła się na zdjęciu warkocza, które podetknął jej pod nos. Nigdy nie miała bujnej wyobraźni i nie do końca radziła sobie z tworzeniem w głowie szczegółowych obrazów, ale musiała spróbować. Nigdy nie poddawała się tak po prostu.

Kiedy poczuła, że obraz w jej myślach staje się bardziej żywy, że widzi coraz więcej szczegółów i patrzy na niego raczej jak część otoczenia niż bierny obserwator, wyobraziła sobie obraz jako energię. Aktualnie kotłowała jej się w głowie, ale powoli przekierowała ją do palców — tak było jej łatwiej niż ze zdjęciem. Miała nadzieję, że to wystarczy, ale na wszelki wypadek wypchnęła też w stronę opuszków trochę pozytywnych emocji, które kojarzyły jej się ze świętami.

Kiedy otworzyła oczy, w pojemniku błyszczał już dwukolorowy Pyłek. Nie, nie Pyłek. Te cząsteczki były większe i świeciły jak maleńkie gwiazdy.

Ivo wyraźnie nie wiedział, czy powinien patrzeć na nią, czy raczej na zawartość kubeczka.

— Jak ty to…?

— Czekaj chwilę. To źle czy dobrze, że to tak wygląda?

— Nie mam pojęcia, trzeba kogoś zapytać. Poczekaj tutaj, a najlepiej nic nie ruszaj na wypadek, jakby się okazało, że to jakimś cudem jest tak niebezpieczne, jak ten twój kredyt.

Stała więc przy stoliku przez kilka nieznośnie długich minut, a oprócz niedotykania niczego była zajęta ignorowaniem posyłanych w jej stronę trochę zaciekawionych, a trochę zaniepokojonych spojrzeń innych pracowników. W końcu blisko niej mignęła jej jasna czupryna.

— Mój tata mówi, że jest w porządku, nawet bardziej niż w porządku. Wygląda na to, że dałaś tej porcji Pyłku trochę dodatkowej mocy, pytanie tylko: ile?

— Nie da się tego jakoś nieinwazyjnie sprawdzić?

— Teoretycznie możemy to po prostu wysłać tak jak każdy zwyczajny Pyłek i zobaczyć, o ile podskoczy ten wskaźnik radości w prawym górnym rogu wyświetlacza. Może ja pójdę go dostarczyć, a ty będziesz monitorowała wskaźnik? Chyba że wolisz na odwrót.

— Tak szczerze to nawet mi się nie chce chodzić. Bieganie za twoim bratem po całym miasteczku to zaskakująco męczące zajęcie.

— Biegam tak za nim codziennie od jakichś ośmiu lat, więc się przyzwyczaiłem, ale wierzę na słowo. Idę, a ty nie spuszczaj wzroku ze wskaźnika.

Przesypał Pyłek do małej torebki w świąteczne wzory i pobiegł w stronę skrzynki z pakunkiem przyciśniętym do piersi. Else Marie wpatrywała się za to w strzałkę, bała się nawet mrugnąć. Szkoda, że nie dało się po prostu nagrywać ekranu. Zrobiłaby to nawet telefonem, ale Ivo miał swój w kieszeni, a ona własny zostawiła gdzieś pośród tego bałaganu w pociągu.

Usłyszała, jak chłopak z drugiego końca hali krzyczy do niej: „wrzucam!”. Nie minęło kilka sekund i wskaźnik zaczął przesuwać się w prawo. Wcześniej nie był nawet w połowie, a podniósł się do prawie dziewięćdziesięciu procent. Kiedy tylko Ivo wrócił, podzieliła się z nim tą informacją, a on z zaskoczeniem stwierdził, że nic się nie zmienia — strzałka dalej wskazywała mniej więcej tyle samo.

— Wow, przy normalnym Pyłku podwyższa maksymalnie o dwadzieścia procent. Nieźle. Właściwie nie nieźle, tylko genialnie. Musisz powiedzieć, jak to zrobiłaś.

— No, po prostu mam słabą wyobraźnię, więc stwierdziłam, że zamiast szczegółów dodam trochę… emocji? Nie, to głupio brzmi.

— Słuchaj, tutaj wszystko jest nieźle porąbane. Na tyle, że to, co mówisz, wydaje się nawet w miarę logiczne. Napiszę na chacie grupowym nowe instrukcje. Jak chcesz, to możesz już przygotowywać następne porcje Pyłku.

Zabrała się więc do pracy. Nie było to zajęcie męczące, po kilkunastu sekwencjach wpadało się w stan swoistego otępienia i po prostu wykonywało niektóre ruchy instynktownie. Miała wrażenie, że widziała już błyszczące kryształki w każdym możliwym odcieniu, kiedy wreszcie podszedł do niej Ivo. Tuż koło niego dreptał Hans z kieszeniami fartucha wciąż wypchanymi dinozaurami, a trochę dalej, za nimi, dziewczyna. Prawdopodobnie kolejna z rodzeństwa, tym razem w wieku pomiędzy braćmi.

— Elsa, to Reelika. Środkowa z rodzeństwa. Reelika, to Elsa.

— Hej — przywitała się Else Marie, na co tamta tylko się uśmiechnęła.

— Mamy taką tradycję — zaczął Ivo — że co roku razem wysyłamy do Tormeya Pyłek. Pewnie ci mówił, jak u niego wygląda sytuacja. W każdym razie co roku mamy nadzieję, że ta dawka szczęścia ułatwi mu opuszczenie Latającego Ekspresu na zawsze, nie tylko na kilka minut. Jeszcze nigdy się nie udało, ale z twoim pyłkiem… cóż, wszyscy mają nadzieję, że tym razem wysiądzie z pociągu na dobre.

Jasne, zero presji.

Nie odezwała się jednak i tylko wycisnęła do kubeczka kolejną dawkę pasty. Tym razem nie pachniała tak pięknie, chociaż był to pewnie tylko wytwór jej wyobraźni. Na wyświetlaczu widniało już imię starego maszynisty, jednak nazwisko było zamazane. Być może zostało zapomniane przez wieki?

Kiedy spojrzała na stolik po raz kolejny, wyświetlał się na nim tylko jeden napis: „Latający Ekspres”. Nie potrzebowała jego zdjęcia, zresztą nie sądziła, żeby w internecie jakiekolwiek było, więc tylko przymknęła oczy i skupiła się na niewyraźnym obrazie w swojej głowie. W ostatniej chwili zauważyła, że cała trójka robi to samo. Ivo miał ściągnięte brwi, Reelice drżała ręka, a twarz Hansa pozostawała niewzruszona, ktoś mógłby stwierdzić, że spokojna.

Przywołała obraz zabałaganionego wagonu, pustych korytarzy, odoru papierosów, tandetnej szklanej kuli. Nie chciała żadnych pozytywnych wspomnień — żeby pomóc staruszkowi, potrzebowała tych złych.

Zmieszała je zwyczajowo z odrobiną pozytywnej energii, którą czuła w każde święta, a potem dodała trochę miłości do rodziny i siły, jaką czasami w sobie czuła. Wypchnęła to wszystko aż do swoich palców, gdzie pozwoliła, żeby wszystkie uczucia skropliły się i opadły do pojemnika razem z uczuciami pozostałych. Uchyliła oczy, żeby obejrzeć rezultaty. Gwiazdki lśniły na cztery różne kolory, ale przypuszczała, że tym razem nie są to ulubione kolory Tormeya. Czarne pewnie należały do niej, zielonkawe (w kolorze typowych dinozaurów) do Hansa. Złote przyporządkowała do Ivo, który wydawał się idealnym bratem — o złotym sercu, a jako że została już tylko Reelika, to do niej musiały należeć niebieskie.

— To co, wysyłamy? — odezwała się, a starsza dwójka z rodzeństwa pokiwała głowami. Hans huśtał się na piętach i nerwowo zgniatał w dłoni dinozaura.

Przesypała błyszczące kryształki do torebki, a one wydały ten sam dźwięk, co kapsel z *Coca-Coli* zawieszony na szyi Tormeya. Razem podeszli do skrzynki, przy której już nikt nie pracował. Pyłki dla wszystkich ludzi zostały wysłane — oprócz jednego.

— Elsa, poczekaj. — Już miała wrzucić przesyłkę, ale w porę cofnęła rękę. Spojrzała za siebie, na smutny uśmiech Ivo. — Pozwól czynić honory Hansowi, w końcu to on wymyślił nazwę dla Pyłku.

Chłopiec podszedł do niej z jak zawsze kamienną twarzą, ale w ręce wciąż trzymał dinozaura. Pociągnął nosem i odebrał od niej paczuszkę, którą następnie szybko wrzucił do pierwszego lepszego otworu i gwałtownie się cofnął.

Stali tak przez chwilę w ciszy, aż w końcu głos znowu zabrał Ivo. Mimo że jego dłonie drżały, kiedy podniósł je, żeby przeczesać włosy, to jego głos wydawał się zaskakująco opanowany.

— Chyba powinniśmy się już zbierać. Niedługo wyłączą światło.

Oddalili się więc w stronę szatni, gdzie zdjęli fartuchy i zmienili buty. Kiedy kolejną minutę wspinali się po schodach, Else Marie zapytała:

— Hej, Hans? Myślę, że powinieneś nadać ten nowej wersji Kolorowego Pyłku jakąś inną, jeszcze fajniejszą nazwę.

— Mhm, tak zrobię.

— Nie poganiaj go, Elsa. Wymyślanie takich dobrych nazw zajmuje dużo czasu — usłyszała w ciemności głos jego starszego brata. Kilka kroków za nimi rozbrzmiał cichy śmiech Reeliki.

Wszyscy postanowili odprowadzić Else Marie na miejsce, z którego miała zagwizdać. Starsza część rodzeństwa wciąż była cicha, ale Hans z powrotem zaczął opowiadać o dinozaurach. Dziewczyna wreszcie doczekała się wykładu o triceratopsie, który — jak się okazało — był dużym roślinożercą z charakterystyczną kryzą i rogami.

Dotarli na skraj miasta i Else Marie ze zdziwieniem zauważyła, że śnieg w szybkim tempie topnieje. W powietrzu, wcześniej mroźnym, czuć było ten charakterystyczny dla wiosny zapach świeżej trawy i wilgotnej ziemi, a spod białego puchu nieśmiało wyrastały pierwsze kwiaty.

Popatrzyła pytająco na Ivo, jako że Hans raczej by jej nie odpowiedział, a Reelika ani razu jeszcze się do niej nie odezwała. Ten tylko wyjaśnił krótko:

— Tak się dzieje co roku. Kiedy dostarczymy pyłek do każdej osoby na świecie, to w miasteczku wszystko zaczyna kwitnąć. Zwykle trwa to kilka dni, potem mamy już wiosnę.

— Z jakiegoś konkretnego powodu?

Wzruszył ramionami.

— Nikt tu przecież tego nie kontroluje.

Else Marie pokiwała głową, udając, że rozumie. Dopiero po chwili przypomniała sobie, co miała wcześniej zrobić — pogrzebała chwilę w kieszeniach, ale ponieważ miała tylko dwie, szybko znalazła gwizdek. Dmuchnęła w niego i wpatrzyła się wyczekująco w niebo.

— Czy tylko ja myślałam, że to potrwa trochę krócej? — zagaiła po kilku minutach wgapiania się w chmury.

— Ciężko stwierdzić, co się z nim teraz dzieje — stwierdził Ivo. — Poczekajmy jeszcze chwilę.

W tym samym momencie z nieba dosłownie spadł Ekspres, a z niego wypadł uśmiechnięty od ucha do ucha staruszek. Zdrowym okiem spojrzał na grupkę, która oczekiwała jakiejś informacji, po czym wyrzucił zieloną zapalniczkę w powietrze i zakrzyknął:

— Udało się!

Od razu zaczęło się wypytywanie, a kiedy upewnili się, że Tormey rzeczywiście uwolnił się od swojego przekleństwa, starsi podeszli go wyściskać. Hans stanął z boku, ale kiedy wszyscy już się odsunęli, wyjął z kieszeni figurkę.

— Weź go. To mikroraptor. Nie był duży, zwykle osiągał długość około jednego metra, z czego większość i tak zajmował ogon, ale za to miał dwie pary skrzydeł. Wyobrażam sobie, że dzięki temu zawsze umiał sobie poradzić. Wiesz, miał własne skrzydła, i to nawet dwie pary, więc nie potrzebował żadnych innych.

— Dziękuję, Hans. — Staruszek kucnął przy chłopcu i zaczął tarmosić mu włosy, na co ten spojrzał na Ivo z prośbą o pomoc.

— Wystarczy, Tormey, ale cieszymy się, że tu z nami jesteś. Zamierzasz już tu zostać tak na stałe, prawda? — Wyplątał brata z objęć maszynisty.

— Jasne, o ile to nie problem.

— Żaden problem. W takim razie witamy w domu!

— Tysiące lat czekałem, żeby to usłyszeć. — Uśmiechnął się i spojrzał na Else Marie. — Ty też powinnaś już wracać do domu. Twoje serce odnalazło drogę, dziecko.

— Wciąż nie wiem jaką, ale w porządku.

— Jak to jaką? Szukało ludzi. A teraz żegnaj się szybko z resztą i wskakuj do Latającego Ekspresu, odwiezie cię prosto do domu.

Przybiła żółwika z Ivo. Reelice odpuściła, bo drżały jej dłonie, i tylko jej pomachała. Najtrudniejsze pożegnanie zostało na koniec.

Uklęknęła w śniegu, przy jasnowłosym chłopcu.

— Daj mi jakoś znać, jak wymyślisz nazwę dla nowej odsłony Kolorowego Pyłku, okej?

— Mhm. — Jedynie mruknął, ale widziała, że dla niego pożegnanie też nie jest łatwe.

— Spokojnie, mamy swoje sposoby. Będziesz wiedziała, jak coś wymyślimy — wtrącił się Ivo.

— W takim razie będę czekać. Do zobaczenia kiedyś!

Wsiadła do wagonu numer dziewięć i pomachała im przez szybę. Wkrótce zniknęli w dole, pośród śnieżnych zasp, z których zostawały już tylko mokre kałuże. Wzgórza pokrywały się świeżą trawą.

A później tego wieczoru, kiedy była już w domu, tuż przed jej nosem zawirowała zielona karteczka — wypadło z niej kilka płatków kwiatów. Krzywym pismem ktoś zapisał na niej wiadomość: „Nazwałem je Kolorowe Kryształki. Hans”.

Amelia Niezabitowska 3C

Szklany klosz[1]

Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się, czy ten świat jest prawdziwy? Czy to, czego doświadczamy, nie jest tylko zwykłym kłamstwem powstającym w naszej głowie? Siedzę teraz na parapecie, przyglądając się krajobrazowi za oknem.

Przepięknemu, lecz krwawemu zachodowi słońca.

Sunącym w oddali światłom samochodów.

Górom, które przez chmury wydają się jeszcze wyższe i bardziej niedostępne.

Patrzę na to wszystko i czuję po raz pierwszy od dawna spokój, ale gdzieś tam na Ziemi są ludzie, którzy nie mają tego luksusu.

W tym wszystkim uświadamiam sobie jedną rzecz — rzeczywiście żyjemy pod szklanym kloszem. Widzimy tylko niewielki ułamek tego świata, tego życia. Jednak szkło jest kruche, łatwo je rozbić i zaraz potem nad naszą głowę jest umieszczany kolejny i kolejny i kolejny… Życie daje nam w podarunku złudne poczucie stabilizacji. Gdy szkło się rozbije, płaczemy nad nim, a kiedy próbujemy je posklejać, odłamki ranią nasze dłonie…

Amelia Niezabitowska 3C

Tusz na papierze

Nie pamiętam, kiedy słowa rozpłynęły się w obraz
Nie zorientowałam się, kiedy obraz stał się rzeczywistością
Lecz od początku wiedziałam, że ten świat to sen
Zatem nie budź mnie z niego nigdy
Chociaż to dla Ciebie tylko tusz na papierze…

[1] Tytuł inspirowany twórczością Sylvii Plath, jednakże wszelkie podobieństwa lub idee zawarte w moim tekście są kwestią czystego przypadku, jak wszystko inne na tym świecie :))

Greta Lesiak 3C

Śmierć jest matką piękna, czyli recenzja książki „Tajemna historia”

Ta książka uświadamia nam, że pomysły przyjaciół często są jeszcze gorsze od naszych własnych.

Całe szczęście, że od każdej reguły są wyjątki. Dlatego też kiedy za sprawą mojej przyjaciółki wreszcie sięgnęłam po tę powieść, wiedziałam, że była to dobra decyzja.

Zniechęcona długością poprzedniej powieści autorki niespecjalnie miałam ochotę zabierać się za kolejną. Donna Tartt słynie trochę ze zbyt rozbudowanej fabuły i niepotrzebnych opisów. Wraz z biegiem czasu mogę jednak stwierdzić, że to, co kiedyś nazywałam zbyt dużą ilością tekstu, wkrótce pozwoliło mi na przeżycie niezwykle skomplikowanej i klimatycznej przygody.

Teoretycznie zdanie mojej przyjaciółki samo w sobie nie sprawiło, że zdecydowałam się przeczytać tę książkę. Być może to pierwszy fragment, który mówił wprost, kto, kiedy i w jakich okolicznościach umrze w powieści, sprawił, że fabuła mnie tak bardzo pochłonęła. Zacznę od tego, że miejsce i czas, do których się przenosimy, czytając książkę, są… no, specyficzne. Jest to bardzo ekskluzywna uczelnia w latach 80, a głównymi bohaterami są studenci Greki. W sumie to czytając sam początek książki, człowiekowi mogłoby się wydawać, że ta powieść jest w zasadzie o niczym — taka sobie historia opisująca życie bogatych, uzdolnionych nastolatków w Ameryce. I tak rzeczywiście moglibyśmy myśleć, gdyby nie ten dziwny i tajemniczy prolog, który cały czas siedzi w naszej głowie. Ta świadomość, że już wiemy, iż jedna z postaci umrze, sprawia, że bardzo chcemy dojść do tego, dlaczego się to w ogóle stanie. Dlaczego ktoś miałby zabijać swojego przyjaciela?

Dopiero gdy przebrniemy przez początek książki i zaznajomimy się wystarczająco ze zwyczajami bohaterów, to dowiadujemy się, o czym mniej więcej jest ta książka. Dochodzimy do wniosku, że cała ta tajemnicza aura, która otacza tych ludzi, tak naprawdę zawiera w sobie szczegóły dotyczące fabuły. Zaczynamy dostrzegać zwiastuny przyszłych wydarzeń. Każde wypowiedziane zdanie nagle pokazuje nam, kim tak naprawdę są ci zwykli studenci. Zdania, które czytamy, zaczynają nabierać głębszego sensu. Bohaterowie z estetycznych i bogatych ludzi stają się postaciami o skomplikowanej psychice i bardzo specyficznym światopoglądzie.

To właśnie takie ukryte szczegóły, które stopniowo doprowadzają nas do czegoś większego, sprawiają, że ta książka jest taka, a nie inna. Uwielbiam to, że wraz z biegiem czasu dowiadujemy się o bohaterach coraz więcej, a ich zachowania stają się dla nas coraz dziwniejsze. Chyba właśnie to sprawia, że akcja jest w pewien sposób chaotyczna, a za nieprzewidywalność tej powieści i te wszystkie plot-twisty autorka ma u mnie naprawdę ogromnego plusa.

Jest to w jakiś sposób uzależniające, bo gdy już trafimy na jeden moment, który budzi w nas zdziwienie i zrozumiemy go dopiero po jakimś czasie, to zawzięcie szukamy kolejnego. I właśnie przez taki schemat nieustannych pytań i odpowiedzi dochodzimy do rozwiązania głównego problemu postawionego w prologu — morderstwa jednego z bohaterów.

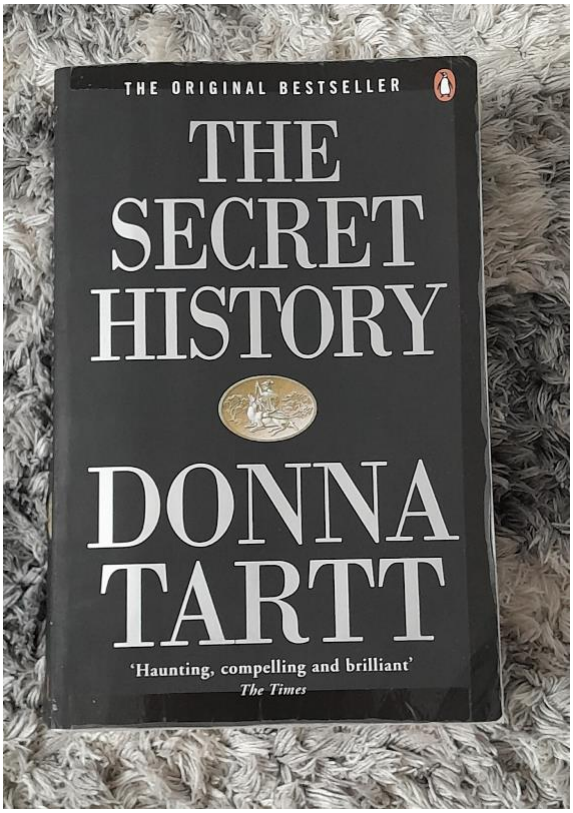

Gdy już myślimy, że w sumie to doszliśmy do sedna całej sprawy i nic już więcej się nie wydarzy… dopiero wtedy zaczyna się właściwa akcja powieści, przez co nagle wyrabiamy sobie zupełnie nowy pogląd na całą tę sprawę.

Uświadamiamy sobie, że powieść nie jest o morderstwie, ale o mordercach.

Mordercach, którzy byli zwykłymi ludźmi, studentami z pasją, ludźmi kochającymi piękno. Ta powieść po prostu pokazuje, w jaki sposób bohaterowie chcieli żyć zgodnie ze swoimi przekonaniami. Widzimy drogę, którą przebyli, aby odnaleźć w swoim życiu piękno. Ukazuje również to, do jakich czynów są w stanie się posunąć, aby osiągnąć ten cel i jakie są konsekwencje ich decyzji.

Zresztą, jeśli już o pięknie mowa, to muszę wspomnieć, że książka sama w sobie jest po prostu cudownie napisana. Sprawiło to, że samo jej czytanie było dla mnie ogromną przyjemnością. Cytaty wplecione w wypowiedzi bohaterów są chyba taką wisienką na torcie, jeśli chodzi o estetykę tej powieści i niejednokrotnie sprawiają, że bierzemy je sobie głębiej do serca. W konsekwencji po przeczytaniu tej książki czułam się trochę tak, jakbym zyskała zupełnie nowy pogląd na życie.

Pomimo że książka jest dla mnie jak jakieś arcydzieło i chyba pozostanie ze mną na długo jako jedna z najważniejszych w moim życiu, to myślę, że wciąż można jej wiele zarzucić.

Na pewno nie spodoba się osobom, które nie lubią konkretów. Wiele elementów w fabule nie jest do końca wytłumaczonych i trzeba je sobie samemu dopowiedzieć. Zwłaszcza dotyczy to zakończenia, które zostało pozostawione raczej do własnej interpretacji.

Myślę, że dla niektórych problemem może być też ilość czasu, który trzeba przeznaczyć nie tyle na skończenie książki, ile na zrozumienie z niej czegokolwiek. Poruszany w niej temat nie należy do najprostszych i to chyba odpowiedź na pytanie: „dlaczego to jest tak długie?”. Dlatego też nie jest to taka książka, którą czyta się na uspokojenie po ciężkim dniu lub dla samego faktu jej przeczytania.

Pomimo jednak, że książka jest tak obszerna, to wciąż myślę, że mogłoby jej być więcej i więcej. W zasadzie fabuła mogłaby biec w nieskończoność, ukazując nam coraz głębsze zakamarki psychiki bohaterów. W pewien sposób uświadamia nam to, że opis ludzkiej osobowości nie ma granic.

Myślę, że temat tej książki jest na tyle skomplikowany, że każdy po przeczytaniu postrzega ją trochę inaczej. Pewnie dlatego, że wszyscy szukamy w niej czegoś innego. Mnie pozwoliła na wyrwanie się ze sztywnych ram mojej codziennej rutyny. Na pewien czas zniknęłam z tego życia, które opiera się głównie na martwieniu się przyszłością.

Dlatego też uważam, że „Tajemna historia” nie jest tylko opowieścią o zbrodni i jej konsekwencjach. Ona opowiada o czymś zupełnie innym — o ludziach, którzy szukali piękna i wolności.

Greta Lesiak 3C

Za co kocham filmy Studia Ghibli

Niejedna osoba czuje dystans, gdy na ekranie widzi rysunki zamiast aktorów. Sama mam podobnie, mimo że nigdy nie uważałam, że filmy animowane są wyłącznie dla dzieci. Jednak kiedy oglądam animacje zrobione przez Studio Ghibli, czuję coś zupełnie nowego. Ekranizacje tego japońskiego studia są na pewien sposób magiczne, niejednokrotnie przypominają baśnie lub sny. Choć ich tematyka nie należy do najprostszych, twórcy zawsze są w stanie przedstawić ją w niezwykle delikatny i subtelny sposób. Uważam, że te filmy są po prostu warte obejrzenia, dlatego postanowiłam przedstawić moje ulubione pozycje wraz z ich krótkim opisem.

1. „Spirited Away”

Jest to jeden z bardziej znanych filmów tego studia. W tym przypadku czymś, co urzeka najbardziej, jest dość niecodzienne miejsce akcji i bohaterowie, którzy są ciekawymi potworami. Ta pełna pięknych obrazów opowieść o świecie duchów i zaginionej w nim dziewczynce pozwala człowiekowi na oderwanie się od codziennego życia i przeniesienie się do odległej rzeczywistości.

2. „Ruchomy zamek Hauru”

Przeczytałam powieść, na której podstawie zrobiono ten film, i myślę, że twórcy idealnie odwzorowali miejsce akcji. Lubię tę animację za to, że w przeciwieństwie do innych filmów tego studia jest bardzo skupiona bezpośrednio na fabule. Dużo się w niej dzieje i nie było momentów, w których czułabym się znudzona brakiem wydarzeń. Muszę też wspomnieć, że ze wszystkich pozycji to właśnie ta najbardziej przypomina mi baśń.

3. „Grobowiec świetlików”

Sam opis filmu nieszczególnie do mnie przemawiał, ale kiedyś poleciła mi go jedna z najważniejszych dla mnie osób. Myślę, że obejrzenie tego filmu nie było błędem, chociaż w zasadzie podczas oglądania go czułam się trochę inaczej niż przy pozostałych. Jako pierwszy nie kończy się szczęśliwie, a jego problematyka jest dużo trudniejsza od pozostałych, bo dotyczy śmierci naszych bliskich.

4. „Podniebna poczta Kiki”

Gdy oglądałam ten film, uświadomiłam sobie, że prawdopodobnie czułabym się zupełnie inaczej, widząc go jako dziecko: na pewno interesowałyby mnie bardziej losy dziewczynki, która chciała zostać czarownicą. Obejrzenie go pozwoliło mi jednak chociaż na trochę uwolnić się od stresu, który towarzyszy mi na co dzień. W filmie nie dzieje się wiele, jednak jestem zdania, że właśnie temu zawdzięcza swój urok.

Podsumowując, filmy Studia Ghibli mają naprawdę cudowną estetykę. Grafiki malowniczych krajobrazów i dopasowana do akcji, spokojna muzyka sprawiają, że te animacje mają naprawdę kojące działanie. Polecam po ciężkim dniu usiąść sobie z herbatką w wygodnym fotelu i obejrzeć jeden z wymienionych przeze mnie filmów. Może pozwoli to komuś na ucieczkę od rzeczywistości i zastanowienie się nad sprawami, które są naprawdę ważne.

Jagoda Walczak 4F

„4 lata minęły jak jeden dzień — pożegnanie weteranów gazetkowych”

Ten numer jest ostatnim, w którym mam zaszczyt zamieścić tekst. Z tej okazji postanowiłam uhonorować samą siebie i moich kolegów z rocznika, którzy przyczynili się do powstawania tych NAJLEPSZYCH numerów Pogaduszek u Kościuszki. Ci, którzy czytali gazetki przez ostatnie cztery lata (a szczególnie ostatnie dwa), mogli doświadczyć naszych tekstów, moich wstępów oraz okładek, składania i korekty najlepszej pani redaktor naczelnej oraz cyklicznych list muzycznych największego melomana redakcji. Znając mój styl wypowiedzi, powinniście spodziewać się treści tego artykułu — będzie to oczywiście zbiór anegdot i lekkich przemyśleń na temat pracy w redakcji Pogaduszek u Kościuszki. Przenosimy się wszyscy razem do środka mojej głowy.

Najpierw chciałabym uhonorować naszą wspaniałą drukarkę. Działa ona bowiem wręcz wybitnie. Wydrukowanie więcej niż dziesięciu numerów w jeden dzień graniczy z cudem. Wspieramy tę innowację technologiczną całym sercem. Poklepujemy po pleckach, gdy ta odpoczywa z powodu przegrzania i głaskamy, mówiąc „dobra robota!”, gdy po trzech nieudanych próbach wreszcie wypluwa bezbłędny numer. Doceniamy wszelkie jej działania i dziękujemy jej za te cztery lata pracy. Wybaczamy czarno-białe numery!

Kolejnym towarzyszem naszej podróży dwa lata temu stał się również klej w sztyfcie. Ratował nas z opresji, gdy nasza drukarka już nie dawała rady i drukowała jednostronnie: wtedy sięgaliśmy po niego z należytym mu szacunkiem. Z namaszczeniem i ogromną precyzją smarowaliśmy każdą z kartek i misternie sklejaliśmy je tak, by były nie do odróżnienia od tych wydrukowanych dwustronnie. Jest to, drodzy Czytelnicy, nie lada sztuka, którą weterani opanowali do perfekcji. Plusem było to, że numery wydawały się grubsze.

Oczywiście nie mogę zapomnieć o naszych wiernych kompanach, jakimi były spinacze. Choć traktowane musiały być z dużą siłą, dzielnie i niezłomnie to wytrzymywały. Musicie jednak wiedzieć, że zszywacze to niezłe zgrywusy. W ramach kawałów często zszywki nie wpinały się do końca, wyginały lub całkiem się zacinały i zwyczajnie nie chciały wyjść. Raz nawet wytknęły nam to, że są niewłaściwego rozmiaru i zaklinowały się tak, że nie obyło się bez pomocy geniusza technologii — pana konserwatora Tomka.

Nie da się jednak ukryć, że gazetka to przede wszystkim ludzie, więc przejdźmy teraz do bardziej sensownych podziękowań:

- Dziękujemy pani redaktorce naczelnej, **Kamili Przytule**, za pilnowanie terminów, składanie gazetki w komputerze oraz fizycznie, wprowadzanie akcentu książkarskiego i swifciarskiego, łapanie językowych byków za rogi, odsyłanie wdów do ich mężów oraz czuwanie nad drukarką. Gratulujemy anielskiej cierpliwości, wytrwałości, oddania i pięknego pieska, który zagościł na okładce. Życzymy świętego spokoju i odpoczynku.

- Dziękujemy tajemniczemu osobnikowi skrywającemu się pod pseudonimem **„hub”** za regularne dzielenie się fantastyczną muzyką, wprowadzanie melancholii, za wywody filmoznawcze i literaturoznawcze z nutą (raczej taką dużą, całą) życiowych rozważań. Gratulujemy gustu muzycznego, wrzucania tekstów zawsze na czas, zmysłu krytycznego oraz papugi, która również znalazła się na okładce. Życzymy szczęścia i niemyślenia tyle o śmierci.
- Dziękujemy **Kubie Kuźmińskiemu** za poruszanie tematów polityczno-społecznych, pisanie zdań tak długich, że zajmują cały akapit, niezwykłą wylewność, znajomość tematów i ich nietuzinkowość. Gratulujemy umiejętności rozwoju, inteligencji, sukcesów pozagazetkowych i wytrwałości. Życzymy dalszych publicystycznych przygód.
- Dziękujemy **Bartoszowi „Sid” Miśkowi** za komentowanie społecznych zachowań, rozprzestrzenianie informacji na temat osób niebinarnych (co doceniam szczególnie jako osoba apłciowa) i wyróżnianie się w gronie humanistów (jako matfiz). Gratulujemy zdolności kodowania nie tylko programów, ale i tekstów. Życzymy sukcesów w programowaniu oraz pieniędzy na farby do włosów.
- Dziękujemy **Marii Paraszczak** za dostarczanie ilustracji, gdy akurat przypomniała sobie o gazetce, starania w kategorii dotrzymywania deadline’ów i wyrażanie słownego entuzjazmu. Gratulujemy unikalnego stylu i wyróżniania się w postaci dostarczania rysunków na papierze. Życzymy znalezienia własnej krakowskiej bohemy oraz artystycznych doznań.
- Dziękujemy **Karolinie Żak** za efektywną pracę w gazetce mimo krótkiego jej trwania, piękne grafiki robione zawsze na czas oraz otwartość na tematykę. Gratulujemy indywidualnego stylu, trzymania się terminów i niezwykłej dobroci. Życzymy samych najlepszych rzeczy od życia i dni promiennych niczym jej uśmiech.
- Dziękujemy **Gosi „Walerio” Kilber** za jednorazowy wkład anglojęzyczny, który językowo urozmaicił naszą gazetkę i poruszenie historii, która jest raczej nieznana. Gratulujemy zdolności lingwistycznych, wiedzy i ogromnej odwagi, Życzymy pieniędzy na kadzidełka i dużo czasu wolnego.
- Dziękujemy **Jagodzie „Stens” Walczak** (dziwnie by było, gdybym napisała to sama o sobie, więc poradziłam się kompanów z redakcji) za używanie ogromnej siły przy walce ze zszywaczami, upominanie się o zdjęcia zwierzaków na okładki, styl zawsze poprawiający nastrój i dużą dozę humoru. Gratulujemy wprowadzania duszy do numerów, kreatywności i niepoddawania się. Życzymy dokończenia legendarnego tekstu o nostalgii, niewpadania w kłopoty i dalszej drogi pisarskiej.

Na sam koniec dziękujemy jedynej i niezastąpionej pani profesor **Joannie Rzońcy** za czuwanie nad nami przez całe te cztery lata, dawanie ogromnej motywacji, załatwianie nam wielu przydatnych rzeczy, organizowanie oficjalnej części gazetki — tej związanej

z dyrekcją i nauczycielami — oraz wspieranie nas w rozwijaniu naszych pasji. Gratulujemy cierpliwości, wielozadaniowości i oryginalności. Życzymy spokoju, odpoczynku, szczęścia i niewypisujących się pisaków.

To już koniec tego artykułu. To ostatnie co napiszę w tej gazetce. Niezwykle to przytłaczające. Nie wiem, jak mnie zapamięta redakcja, nauczyciele i uczniowie. Większość pewnie i tak nie wie, jak wyglądam. Wiem jednak, że ja nigdy nie zapomnę doświadczenia związanego z tą gazetką i mimo wszystkich przeciwności praca tu była naprawdę wspaniała. Dziwne dziedzictwo po sobie zostawiam. Spełniajcie marzenia, twórzcie, nie bójcie się kochać i nie poddawajcie się. Będę na maksa tęsknić. Dobra, bo zaraz się popłaczę. Nie lubię pożegnań, więc zamierzam zacytować jedną z moich ulubionych piosenek: „Ale się tu nie żegnam, kurcze, lepiej się witać". Więc dzień dobry, Czwórkowicze. Życzę miłego życia!

hub 4F

Rzeczy, które wyrzucam. Opowiadam po raz ostatni w tej szkole o rzeczach moich.

Dzień dobry. To znowu ja, chociaż tym razem nie mam listy muzyki na porę roku. Niestety czy stety to mój ostatni wpis tutaj, bo kończę naukę w naszej kochanej szkole. Tak na pożegnanie przychodzę więc nie z taką standardową listą, ale ze zbiorem rzeczy moich, które w większym bądź mniejszym stopniu wpływały na to, jak wyglądało moje funkcjonowanie w tej szkole. Bo najlepiej wychodzi mi rozdrapywanie przeszłości, więc teraz też to zrobię. Może któraś pozycja zostanie z kimś na dłużej. I chcę zostawić po sobie ślad. Zacznijmy od muzyki.

1. Zawsze zaczynam listy od The Cure, więc tutaj też tak zrobię. Wszyscy wiedzą — to mój ulubiony zespół, więc cała dyskografia z fazami na różne albumy w zależności od czasu była ze mną. Robert Smith śpiewał mi w pierwszym dniu szkoły i pewnie będzie mi towarzyszyć też w drodze na maturę. Trudno wyłonić jakieś topowe utwory, ale najbardziej przemęczone zostały przeze mnie „Disintegration", „Pornography" i „Wish". To tyle, słuchajcie The Cure.
2. W pierwszej klasie na przemian leciały w dużej ilości My Chemical Romance i Mgła. Pierwszy zespół z gatunku emo po prostu był wtedy istotny. Nadal czasem do nich wracam z powodu sentymentu, jako że jestem człowiekiem aż nadto sentymentalnym. Utwory Mgły są z gatunku death metal i najlepiej mi się słuchało ich wieczorami, bo, cóż, czasem po prostu tak trzeba, żeby ktoś pokrzyczał niezrozumiałe słowa do ucha. Do izolacji te dwa zespoły.
3. Grzechem by było nie wspomnieć o Radiohead, bo przez dwa lata utrzymywali się na szczycie moich najbardziej słuchanych zespołów, więc przez całą licealną wędrówkę byli ze mną niezmiennie. Bo po prostu tak idealnie pasują do codziennej walki z wiatrakami w szkole. Pustka, tęsknota i poczucie niezrozumienia. Najczęściej odtwarzany był album „OK Computer", bo kiedy go słucham, czuję się tak, jakby ktoś rzeczywiście mnie rozumiał.
4. Dwa uwielbiane przeze mnie i jedne z ważniejszych zespołów w labiryncie życia również musiały się znaleźć na tej liście. Obydwaj ich wokaliści to bardzo istotne postacie w moim życiu, których twórczość jest dla mnie po prostu ważna. Pierwszy to Joy Division i nieziemski Ian Curtis. Drugi to Nirvana z niezapomnianym Kurtem Cobainem.
5. Trzeba także wspomnieć o Nick Cave & The Bad Seeds, bo przecież to właśnie te mroczne i pełne goryczy ballady towarzyszyły mi podczas czytania i spacerów. To istotne dla mnie produkcje, o dużej wartości. Dużo razy już się tutaj pojawiali, więc napiszę tylko jedną rzecz: Nick Cave jest mistrzem hipnozy, dlatego tak często jego twórczość leciała w moich słuchawkach.
6. Teraz trzy pozycje polskie z jednym wspólnym mianownikiem, jakim jest Artur Rojek. Myslovitz, Lenny Valentino i Artur Rojek. Dużo było ich u mnie w

słuchanych, wszyscy trzej przewijali się na zmianę. Najczęściej jednak gościła u mnie grupa Lenny Valentino, bo wydali album, który jest dla mnie niezwykle istotny. „Uwaga! Jedzie tramwaj" to doskonały album bardzo rozumiejący mnie i moje wszystko.

7. Niezwykle istotne są dla mnie zespół Have A Nice Life i projekt Giles Corey. Pierwszy to mój ulubiony zaraz po The Cure. Album „Deathconsciousness" jest przepiękny, mój absolutny faworyt, który często mi towarzyszy. Giles Corey ze swoim najważniejszym albumem o tym samym tytule jest ze mną zawsze. Obydwa projekty uczestniczą w mojej nauce, drodze, w robieniu wszystkiego, a czasem też niczego. Bardzo im za to dziękuje. Teraz, podczas pisania, słucham albumu „Giles Corey", co mówi samo za siebie.

Ale dość o muzyce. Dużo o niej mówię — chyba trochę za dużo — więc teraz może skupię się na innych rzeczach. Jeśli mam opisać, czym jest dla mnie liceum, to powiem: „mała apokalipsa", i tak, celowo nawiązuje do książki Tadeusza Koniwckiego o tym samym tytule. Szkoła była dla mnie błąkaniem się w labiryncie, własnych słabościach i problemach, trudzie, jaki sama mi przynosiła. To, jak się czuł Józef K., idealnie obrazuje to, jak u mnie wyglądało bycie w liceum. A że nawiązuję tu dużo do książek, to podzielę się z Wami moimi ulubionymi lekturami, do których ciągle wracam i wciąż przeżywam na nowo.

1. **„Proces"** — najważniejsza dla mnie książka. Franz Kafka odgrywa kluczową rolę w moim życiu i w dużej mierze to właśnie on mnie ukształtował, właściwie dalej kształtuje. Niezwykle mnie rozumie w zbyt wielu rzeczach. „Proces" jest niesamowity — to dla mnie skarbnica metafor. Mój egzemplarz jest cały pokreślony różnymi dopiskami, bo każde zdanie ma znaczenie; bo nie można nic przeoczyć, gdy jest się oskarżonym o niewinność. Czytajcie Kafkę, nie pozwólcie jego pracom spalić się po raz drugi.
2. **„Mała Apokalipsa",** zatem druga najważniejsza książka w moim życiu. Wywarła na mnie ogromny wpływ. Bohater-narrator jest w niej zmuszony rozprawić się z ostatnim dniem swojego życia. Moment przed spaleniem. Przepiękna pozycja. Istotna również dlatego, że fascynują mnie samospalenia, są dla mnie niezwykle ciekawe. No i oczywiście postać Huberta, który się wypalił jako człowiek — skąd ja to znam?
3. **„Dżuma"** — egzystencjalna walka z… tutaj można wstawić dowolne zakończenie. Musimy sobie wyobrażać siebie samych jako szczęśliwych. Tak po prostu trzeba: wyobrażać sobie, że jest się szczęśliwym. To robimy przez cztery lata liceum, to robimy już zawsze później. Istotna dla mnie pozycja, bo uwielbiam dżumę — jako zarazę, ale też jako metaforę. Ale będzie kiedyś lepiej, poczytajcie o filozofii Camusa, może poczujecie się trochę lepiej.
4. **„Szewcy"** — Witkacy to artysta, który — czasem tak mi się wydaje — w niezwykły sposób mnie rozumie, we wszystkim. Swoim dramatem zachwycił mnie i zaprowadził w otchłań Czystej Formy. Nie wiem, czy jest to dziwne, ale rozumiem

dokładnie ten dramat, całą jego symbolikę i wymowę. Chociaż może wpływa na to też fakt, że wszystko interpretuję trochę inaczej, przez pryzmat tej wszechobecnej śmierci i marności.

5. **„Zbrodnia i Kara”** — znacząca książka w moich literackich poczynaniach. Otworzyła moje oczy na pewne kwestie i naprawdę mnie ukształtowała. Dostojewski to kolejny pisarz, który jest dla mnie ważny. Lektura bardzo mnie fascynuje, dużo sobie dopowiadam do tej pozycji, ale na tym polega czytanie książek: jest to przeżycie subiektywne.
6. **„Chłopi”** — ważna książka. Jest po prostu przepiękna, wszystko jest w niej przepiękne. Fascynuje mnie od początku do końca. Może to po prostu skrajna chłopomania, ale jest to moja ukochana lektura i za każdym razem, kiedy ją czytam, jestem pod ogromnym wrażeniem talentu jej autora — na tyle, że wpływ wywiera na mnie każde pojedyncze zdarzenie. No i opisy przyrody, tak znienawidzone przez moją polonistkę, zupełnie mnie urzekły. Najbardziej w tej powieści urzekło mnie natomiast wykorzystanie naturalizmu i impresjonizmu.

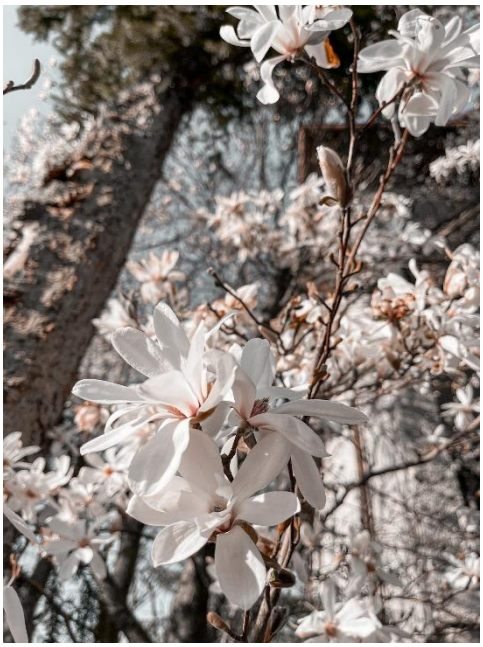

7. Ostatnia książka nie jest z kanonu lektur, ale pozwoliła mi zrozumieć, jak funkcjonuję i dlaczego tak jest. Uratowała mnie i moje życie w szkole. Jest to **„Urodziłem się pewnego błękitnego dnia”**. Opowiada o życiu osoby autystycznej — ja od trzeciej klasy liceum mam oficjalną diagnozę spektrum autyzmu. Ta książka pomogła mi to zrozumieć, dlaczego każdy dzień w szkole był walką o przetrwanie, dlaczego było, jest i będzie mi ciężko w codziennym życiu z powodu tego, kim jestem. Istotna książka, więc ją tutaj zamieszczam, bo gdyby nie ona, to byłoby mi jeszcze ciężej. Też mam taką wiadomość dla wszystkich osób nieneurotypowych w tej szkole: **nie jesteście sami, nie jesteście problemem, nie bójcie się komunikować swoich potrzeb waszemu otoczeniu**. Potrzebne było, żeby ktoś mi to powiedział, bo na co dzień w szkole trudno jest o tym pamiętać.

Tak na zakończenie napiszę jeszcze, że moja ulubiona epoka historyczna to średniowiecze, a ulubiona epoka literacka to Młoda Polska albo dwudziestolecie międzywojenne, albo teksty powstające po roku 1956.

Moja ukochana grupa poetycka to kaskaderzy literatury, a ulubiona poezja to poezja ściśniętego gardła. Uwielbiam wiersze białe. Moja ulubiona poetka to Halina Poświatowska, natomiast mój ulubiony poeta to Józef Czechowicz. Podoba mi się poezja o każdej tematyce, ale preferuję tę z motywem śmierci. Mój znienawidzony

wiersz to „Tren Fortynbrasa” — bardzo źle go wspominam, zwłaszcza jako osoba będąca po przeciwnej stronie, z Hamletem.

Jestem ogromnym entuzjastą tych zabiegów literackich i nurtów: groteska, mityzacja, naturalizm, symbolizm, weryzm, turpizm.

Tak już na siłę przedłużam ten tekst, właściwie to od początku nie mam nic do powiedzenia (to kłamstwo). Chyba czas zakończyć czymś ładnym czy inspirującym, ale nie lubię takich zakończeń, więc tego nie zrobię. Nie wiem, czy szkoła jest fajna czy nie — musicie sami zdecydować, bo moja odpowiedź byłaby zbyt skomplikowana. Miło mi się pisało i pracowało w naszej gazetce, to znaczy właściwie już nie mojej, ale pozwolę sobie na napisanie tego, ostatni raz.

Jedyne, co przekażę teraz na zakończenie, to: „w odpowiednich momentach [...] śmiałam się w odpowiednich momentach”. Postarajcie się o tym pamiętać. Jeszcze na koniec chyba po prostu napiszę, żebyście sobie posłuchali utworu „Miejcie nadzieję” - to z Filmu „Ostatni dzwonek”. To będzie moja ostatnia tutaj, w tej gazetce, rekomendacja muzyczna, wydaje mi się, że o szczególnej wartości. I po prostu miejcie nadzieję w szkole i w życiu, i ogólnie we wszystkim. Do widzenia!

Vege